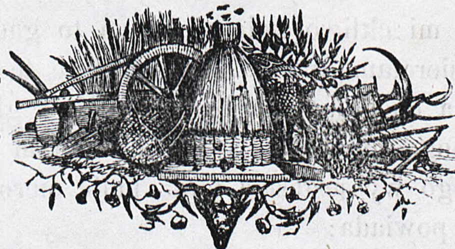
Tom XII.  **Nr. 18.**

21. czerwca **1865.**

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Jakie życie, taka śmierć.

Niedaleko odemnie stoi wieś Łukowiska. Wieś jak wieś, co ją założył jakiś pan dawny polski Łukasz i od jego imienia przezwano ją na wieczne czasy Łukowiska — grunta tam dobre, boć każdy numer ma tam rolę dosyć dużą, ale co ludzie to znowu co innego! Jakto bywa na tym grzesznym świecie, są tu rozmaici ludzie: pijacy i trzeźwi, leniuchy i pracowici, spokojni, zgodliwi ale są także i kłótnicy i proceśniki ostatni. Toż nie można powiedzieć, aby w takiej wsi, gdzie jest większa połowa niedobrych ludzi, było i błogosławieństwo boże. Nie ma tam i szkoły dotąd, toż biedne dziecięta gromadzkie rosną jak płonki w lesie, a trudno z nich co wydobyć mądrego i dobrego, jak koły w płocie nie kwitną nigdy i nie dają owoców.

Otóż przejeżdżałem tam niedawno, jadąc na jarmark do bliskiego miasta. Jadę sobie drogą a tu na środku drogi siedziało dwoje dzieci, ale to omurzane i źle okryte aż strach było na to popatrzyć. Zlazłem z wozu, poszedłem do nich, pogłaskałem po główkach, dałem po nowym krajcarku do rączki i pytam się:

— A macie wy dziateczki biedne ojca i matkę?

Starsze mi powiada tak:

— Matusia umarli nam, a tatusia zabiło na śmierć w mieście.

Zrobiło się mi ckliwo koło serca na to gadanie, że takie drobiazgi były sierotami, podumałem sobie że te niebożęta mogą się zmarnować, a choćby im ludzie nie dali z głodu zginąć, to ich duszyczki mogą przepaść na wieki i pytam dalej:

— A u kogo wy jesteście teraz moje sierotki?

Starsze mi powiada:

— A u dziadka i babki.

Wziąłem za rączki te sierotki i powiadam im:

— No! zaprowadźcie mię też do waszego dziadka i do babki, bobym się wody napił u nich.

I zaprowadziły mię te mizerotki biedne do chałupiny bliskiej, gdzie były dwa małe okienka, drzwi kiepskie do sieni, a dach na chałupinie cały porosły mchem, aż był cały zielony nito trawa drobna. Włażę do sieni przez próg, idę do izby, a tu siedział dziadowina, stary jak grzyb, zerwał się gdy mię zobaczył, ja pochwaliłem Boga, on mi odpowiedział i przywitał mię jak xiędza, wtedy ja mu mówię: Dobrze robicie mój dziadusiu kochany że żywicie te sieroty, ale też wasza babina niedobra, że też nie ogarnie i nie omyje tych niebożąt, jeno im daje chodzić czarno, jak maziarzom albo cyganom. A może i paciorka z nimi nie odmawia, ani nie uczy przykazań boskich, a napewne nie zaprowadzi nigdy do kościoła bożego, a toby był za to wielki grzech.

A dziaduś poskrobał się po starej głowie i mówi:

— Do kościoła to poprawdzie nie idą, bo bardzo daleko, ale za to idą do ruskiego kościoła, a paciorek odmawia się z nimi co dzień, jak Bóg przykazał, a zaś na okrycie lepsze dla nich nie stać nas, bo to i my sami żyjemy w lecie na przednowku tak jak z jałmużny, a w zimie z zarobku, ale tam i zarobek nasz nie wiele wart.

Ja mu na to gadanie:

— To wszystko jedno, czy kościół polski, czy ruski, bo to jeden Bóg, jeden Pan Jezus, jedna Najświętsza Panna, jeden Ojciec św., jedna wiara św. jeno my Polacy mamy mszę św.

po łacinie, a pieśni pobożne i kazanie po polsku, a Rusini ododprawiają nabożeństwo takie same jeno po rusku. W kalendarzu są odmiany, my Polacy mamy nasze święta noprzód o 13 dni, a Rusini mają później, a czasem jak padnie, to mamy wszystkie święta razem. Toż my wszyscy jednakowi katolicy i jednakowi Polacy jeden w drugiego. Ale powiedźcie mi też, mój dziadusiu, jaką to śmiercią pomarli ojcowie tych sierot, bo mi coś bąkło to dziécię, że mamusia umarli pierwej, a tatusia zabiło w mieście.

Dziaduś odetchnął, westchnął i powiada:

— O! jegomość! straszna to i śmierć była tych ludzi, bo to ona umarła w godzinie jednej, niewiedzieć z czego, a on polazł do miasta rano i już nie wrócił, bo go jakieś konie dorazu na miejscu ubiły.

— O! dla Boga świętego, zawołałem, toć pewnie pomarli i bez spowiedzi św. a to jakaś kara boża!

— A jużci, że kara boża, mówił dziaduś, bo jakie było życie, taka i śmierć, a Pan Bóg nie podaruje nigdy upartym ludziom, jeno przypatrzy się, poczeka jak miłosierny ojciec dla głupiego człeka, a jak nie ma na upor lekarstwa, to dotknie palcem swym, a wtedy nie raz wyginą wsie i miasta całe, a człowiek marny zginie w chwili jak chrząszcz jaki.

— To prawdę gadacie, mówiłem ja na to, zawsze to głupi rozum u ludzi, jak oni robią na udry drugim i Bogu i jak nie ma posłuchu ani dobrej zwagi na to, co Bóg przykazuje i czego starsi nauczają.

— No! cóżto ci nieboszczyki porobili takiego za życia?

— A coby dobrego, rzecze dziaduś, ona to moja córka, wydałem ją 5 lat teraz za tego Jana, myślałem sobie, że to przecie będzie co z tego, że będą robić, ja pomogę wiele, mało, ale oboje jakoś się rozpuścili bardzo, wiano całe i krowy i korale zabrali żydzi, a tego Jaśka cała praca zginęła gdzieś jak w ogniu, a nie można było tam ani przystąpić, ani co powiedzieć, bo nie raz zrywali się do bitki na mnie starego i na moją babinę, toż ja tam ani zajrzał ani oka nie pokazał, i nie byłem tam już dobre dwa roki, a moja babina to pono oczy wypłakała, a co się namodliła i naprosiła Boga o rozum i upamiętanie jakie dla nich! ale to widać nie pomagało nic, bo oczywista, że jak Kuba

Bogu, tak Bóg Kubie! jak kto zaślepi rozum swój dobrowolnie, to mu pono dobry rozum nie wlezie sam do głowy gotowy, a jak kto chce iść za złym duchem, to go pono i anioł św. nie utrzyma, a jak sobie kopie jamę do piekła, toć mu pono sam Bóg nie wytrąci motyki z ręki, a ludzie dobrzy powiedzą mu:

— Jak sobie pościelesz nieboże, tak się wyspisz, jak sobie namielesz zboże, tak będziesz jadł potem!

A ja na to mądre gadanie dziadka mówię:

— To tak jest akurat mój dziadku! Kto się Boga i dobrych ludzi nie trzyma, tego się nie trzymają Bóg i ludzie! a taki musi na końcu pójść marnie i darmusieńko z tego świata. No! toć i wasza córka tak darmusieńko i niepotrzebnie umarła.

— A jeno, że tak! mówił dziadek, boć to przyszło na to, że ci głuptaki już po roku nie byli w kościele ani do spowiedzi św. a komużby się nie sprzykrzyło takie niedobre życie? toż i u Boga jest miara na wszystko! i ona wróciła w jednę niedzielę pono pijana do dom, legła pod oknem, a rano już więcej nie wstała. Pochowaliśmy ją z pokropienia, bo na inny pogrzeb nie było już sposobu żadnego, i otóż zostały sieroty a niepotrzebnie.

— No! a gdzież grunt po niej? zapytałem.

— O! jegomość! toż i zeszedłem na ostatnią biedę na stare lata przez tę niedobrą Zośkę, bo dałem grunt mój na wiano, a teraz zabrali to Żydzi za dług za jakiś miód i za słodką gorzałkę, bo to widzi jegomość! na końcu zabrali się ci pijaki aż do pańskich trunków, a może tam Żydzi pocyganili nie mało, ale kto tam dojdzie prawdy z Żydami arendarzami, co to boso przychodzą do arendy, a potem wozami wyjeżdżają ze wsi, ani sieją, ani orzą, ani zarabiają ciężko, a mają na tyle w końcu, że nie raz i dwór wypożycza od nich, a zkądże to wszystko się bierze? toć to krzywda ludzka oczywista.

Zadumałem się na to gadanie dziadka, pomyślałem sobie: czemu to tak nie myślą wszyscy gazdowie i wszystkie gazdynie, jak ten dziadek, i czemu tak nie robią jak on? ale robią jak ta głupia Zośka i ten głupi Jaśko, co mieli pracę po dwóch ojcach, były korale, chusty porządne na święto i na dzień powszedni, był grunt duży, coby wystarczyło na kilkoro dzieci, była chałupa drewniana na węgły składana, dał Bóg i dwoje dziatek, była

chudoba, było z początku błogosławieństwo boskie, a za 5 roczków wlazło to wszystko do kieszeni Żydów i do gęby pijaków i niestało nic a nic nawet na pogrzeb i jeszcze Bóg pokarał nagłą śmiercią a może i duszę biedną potępił, a dwie sierotki zostały zdrowe ale nagie bez sposobu do życia. I tak dumając sobie zapłakałem nad biedną duszą tej Zośki i temi sierotkami i pytam dalej:

— No! a cóż to się znowu takiego porobiło z Jaśkiem?

A dziaduś widząc moje łzy, aż się na głos rozpłakał, otarł oczy podartym rękawem kilka razy i powiada mi.

— Żal mi jegomość! mego jedynego dziecka, bo jeno tyle dał mi Bóg, ale cóż robić? kiedy na głupi rozum jedno jeno lekarstwo, aby posłuchać Boga i ludzi i poprawić się, a tego moja biedna Zośka nie chciała zrobić, toż ona umarła kiepsko, a ja za nią pokutuję na stare lata, bo mi tylko została ta chałupina a i to chcieli Żydzi zabrać, jeno nasz xiądz nie dał. Toż zaraz po jej śmierci zabrała moja babina te sieroty, bo tam przy Jaśku nie było co siedzieć, a dzieci bez matki idą na biedę zawsze, a potem pokrajała swoje stare łachy i poszyła po jednej koszuli dla tego biedactwa, a teraz nie ma już czem raz jeden okryć te sierotki, a babka polazła tam do dworu wyprosić co dla nich u pani i panienek i jakoś jej długo nie widać, może gdzie osłabła na drodze albo leży chora, a ja siedzę przy chałupie i pilnuję, aby gdzie bydło na drodze nie połamało temu rąk i nóg, i zaczął znowu dziadzina strasznie płakać, aż ja mu mówię tak:

— Was dziadku trzyma Bóg na to, abyście z babką wychowali te wnuki, jak jeno można najlepiej, mieliście dawniej jedno dziecko i to poszło marnie, a teraz macie aż dwoje, toż miarkujcie sobie dobrze, aby i one nie zmarniały, bo niech one znają Boga i robią dobrze, to im Bóg da więcej, niż wy dali Zośce. Bóg ma na tyle w niebie i na ziemi, że zbogaca ubogiego, jeżli wart tego. Ale gadajcie mi jeszcze o śmierci Jaśka, bo ja muszę odjeżdżać na jarmark.

Dziadek powiada mi:

— Ten Jaśko po śmierci Zośki, to już nie siedział w domu, jeno się włóczył jak głodna psina między płoty i chałupy.

Gdyby to miało dobry rozum, toby się było nawróciło do Boga po takim przytrafunku, jaki miała biedna Zośka — a był na to czas, bo mu Bóg pozwolił życia jeszcze rok cały, ale on na to nie zważał; bo to Jegomość! ludzie myślą, że Bóg daje im życie na durniczki albo na złe, a o dobrem ani pomyślą — i Jasiek był taki głuptak. A na cóż mu było się poniewierać między płoty, kiedy jabym go był z ochotą wziął do mojej chałupiny? boć to przecie nie trza gardzić i grzesznikami, jeno ich nawracać, tak robił i sam pan Jezus. Ale on już do reszty ogłupiał, i tak zalazła ta marnota aż do miasta, a wtedy był wielki targ, łaziło to po mieście i tam widać była mu godzina śmierci przeznaczona. Bo to spłoszyły się konie jakiegoś chłopa i leciały przez miasto z wozem — ludzie uciekali na wszystkie strony, nie jeden tam dostał guza, ale też nikogusienko nie ubiły, aż wpadły na tego Jaśka prosto dyszlem w plecy i dyszel wlazł krzyżami w środek piersi Jaśkowi, a ten nieboraczysko został tak wisieć, konie jeszcze leciały, aż ludzie przytrzymali i jego nieżywego zdjęli, do szpitalu zanieśli i tam pono w wiązce słomy bez trumny pochowali, nito żebraka ostatniego. Otożto koniec taki.

Ja zadumałem się znowu na taki straszny przytrafunek i powiadam:

— To oczywista kara Boża na Jaśka! bo jużci było na targu w mieście tyle tysięcy ludzi różnych, byli tam młodzi, starszy i dzieci, jak zwyczajnie na targu każdym, konie leciały z wozem przez całe miasto, niejednego skaleczyły, ale nikogo nie zabiły, aż za miastem przebiły dyszlem na wylot Jaśka jednego, który jakby umyślnie poszedł po śmierć na targ, boć on nie szedł tam kupować ani sprzedawać co, jeno tak Bóg chciał go ukarać na targu publicznie, aby wszyscy ludzie targowi to widzieli i zmiarkowali sobie dobrze, jaki to Bóg sprawiedliwy.

— A dziadek kiwając głową powtórzył:

— Oj tak! tak! jegomość — ja to sam wiem dobrze że go Bóg pokarał taką nagłą i straszną śmiercią i on też widać zasłużył na to, bo on przemarnował dużo chleba mego i po swoim ojcu, on moją Zośkę popsuł, bo ona przez niego z zgryzoty zo-

stała pijaczką, onby był i te sieroty popsuł albo umorzył — a tak sam się zagubił na wieki! Ale niech mu tam Bóg odpuści wszystko!

Ja pożegnałem dziadka, pobłogosławiłem te sierotki drobne, zostawiłem im jałmużnę, jak Bóg przykazuje, odjechałem dalej, a wam moi kochani, co Dzwonek czytacie, wypisuję to, abyście wiedzieli, jak żyć i robić macie, aby was tak Bóg nie pokarał, jak tego Jaśka z Zośką w Łukowiskach, aby po was nie zostały takie biedne sierotki.

Xiądz Wojciech z Medyki.

Spiewka o Tomaszu Ptaku,

kmieciu krakowskim z Wielebny, co podarował w roku 1809 wojsku polskiemu armatę.

Na krakowskiej ziemi huczno, ludno i radośnie,
Grzmią okrzyki, lud się roi, że aż serce rośnie!

Na krakowskiej ziemi drogi szerokie i bite,
A drogami ciągnie wojsko polskie rodowite!

Szumi Wisła, szumi głośno, krakowską doliną,
A wzdłuż Wisły nasze polskie chorągiewki płyną!

Płyną polskie chorągiewki, migają z oddali,
Połyskują w słońcu lancy ułańskie ze stali!

To ułani pędzą polscy z wojenną paradą,
Z szabelkami, z rabatami: Wiwat! nasi jadą!

Lud się tłumi, Wisła szumi, po polach się wije,
Jadą nasi i wołają: Niech ojczyzna żyje!

We Wielebnej, wsi krakowskiej, lud się zbiegł do koła,
„Hej witajcież nam ułani!“ każdy z duszy woła!

„Hej witajcie nam ułani, przybywajcie radzi,
„Hej ułani nasi polscy, zkąd was Bóg prowadzi?!“

„A zkąd by tam, jak nie z bitwy za pomocą Boga,
„A dokądby mili ludzie, jeśli nie na wroga?“

„Hej cieszże się ludu dziarski, ludu ty krakowski,
„Bo na przedzie z nami jedzie książę Poniatowski!

Hurra! krzyknął ludek wiejski, wysypał się rojno,
A niebawem mnóstwo chłopców już stanęło zbrojno!

Kto miał tylko zdrowe kości ujął lancę w rękę,
Przystał zaraz do ułanów jechać na wojenkę!

Gdy tak chłopcy się weselą, gwarzą z ułanami,
Wyszedł z chaty kmieć staruszek z białemi włosami.

I przywitał się serdecznie, zapłakał z radości,
I tak mówi drżącym głosem do wojackich gości:

„Hej jam także był wojakiem młodszemi latami,
„Gdy Kościuszko, pan naczelnik, przewodził nad nami!

„Teraz zdrowie nie statkuje, bolą stare rany,
„Gdyby nie to, biegłbym z wami panowie ułany!

„Żal staremu, że do lancy, już teraz nie składny,
„Ale za to da wam stary podarunek ładny!

I zawołał kmieć na sługi, aż tu Boże miły!
Dźwiga sześciu parobeczkow coś z całutkiej siły,

Oj dźwigają ciężar wielki, aż ich całych zgniata.
Mocny Boże! Czy być może? A dyć to armata!

A staruszek tak przemawia: „Oto działo macie,
Ja to działo długie lata chowałem w mej chacie!

„Gdy Kościuszko, nasz naczelnik, uległ w krwawym boju,
„Jam armatę zapomnianą wywlokł w wielkim znoju,

„I ukryłem ją u siebie aż na lepsze czasy,
„Gdy na nowo się rozpoczną wojenne zapasy!

„Oby strzały, jak grom grzmiały z spiżowej armaty,
„Wszemu lichu na pohybel a nam na wiwaty!“

A ułani zawołali: „Żyj Tomaszu Ptaku,
„Żyj nam kmieciu ty cnotliwy i dzielny Polaku!

„Będą strzały jak grom grzmiały, z tej twojej armaty,
Wszemu lichu na pohybel, Polsce na wiwaty!“

Wojtek ze Smolnicy.

Jak u nas być powinno?

(Dokończenie.)

Idąc w pole przez sad, zdziwiony byłem porządkiem sadu i obfitością drzew owocowych, z których jedne już stare pokryte były zawiązkami pięknych jabłek, gruszek i śliwek a inne świeżo szczepione, wystrzelały dopiero bujnemi latoroślami. Pomiędzy niemi były szerokie zagony doskonale uprawionej ziemi, na których rosły ziemniaki, buraki, biała marchew, kapusta, i jedna grządka ogórków. Przy domu zaś posadzono boże drzewko, lewandę, józefek, wrotycz, rzymski rumianek i chrzanu kilka krzaków. Cały ten sad był okopany a na wierzchu obsadzony głogiem i kolącemi krzewiami, pod któremi kryły się wśród upału kwoki z kurczętami. Zapytałem gospodarza, czyli sam swój ogród uprawia, na co mi odpowiedział:

— Nie wielkato sztuka około sadu chodzić i lada kto temu podoła, tylko trzeba pracy dokładać. Stare drzewa zastałem już po ojcu, i jeszcze rodzą, chociaż dużo mniej jak przed laty, bo i drzewo jest tylko do czasu, jak i człowiek, który pracuje dopóki może, a potem na starość siły go opuszczają, aż zmiera. Lecz te młode to ja już szczepiłem na dziczkach i jakoś mi się przyjęły, więc będzie czem nadsadzać. A te grzędy to mi największy niosą pożytek, bo z nich mam jadło i do domu i dla bydła. Marchew biała, to na pół łokcia i więcej wyrasta, a jedzą ją ludzie, konie, bydło i psy nawet, tak jest słodka i smaczna. Lecz onaby tak nie wyrosła, gdyby pod nią nie uprawić. Otóż w całym tym ogrodzie, to ziemia jest przeszło na łokieć głębokości skopana, to jest na dwa rydle. Potem się ją raz jeszcze z nawozem przeryje, aby się dobrze z nim pomieszała i skruszyła, a dopiero sieje się na niej, co kto chce. Potem się plewi i okopuje jak zazwyczaj i dzięki Bogu wszystko się udaje, jak jegomość widzi. Te zaś ziela pod domem, to same baby sadzą, od przypadku choroby albo na człowieka albo na bydło. Teraz skoro jegomość ciekawy, to możemy iść w pole, ale to kawałek drogi, bo ja mam polanki po różnych miejscach.

Szliśmy tedy ścieszkami i miedzami dość daleko, a poczciwy gospodarz pokazywał mi różne gospodarstwa, nazywając właści-

cieli po nazwiskach, razem też uwagę moją zwracał na rozmaitość i stopień uprawy różnych polanek, objawiając oburzenie na tych, którzy gospodarstwa swe zaniedbali. Jakoż zatrzymawszy się przy jednem polu, gdzie był lichy urodzaj, rzekł:

— Albożto ten kawałek nie powinien wydać dziesięciu ziarn, gdyby był dobrze uprawny, ale próżniak Sladek, wziąwszy najpiękniejszą rolę po swoim ojcu, tak ją zapustoszył, iż teraz najgorzej rodzi. Bydła nie ma, nawozu przeto nie urabia, przytem siał z początku żyto po życie i jęczmień po jęczmieniu, i tak rolę zubożył, że teraz owsa nawet lichego nie wydaje. W końcu będzie musiał własność swą sprzedać, i może będzie lepiej, bo się staranniejszemu gospodarzowi dostanie. Ziemia święta jest wdzięczną, ale tylko dla tych, którzy dla niej są hojni, a nie żałują pracy i nie szczędzą nakładów, a wreszcie ziemia ma różne w sobie kieszenie, i nigdy z jednej rok po rok nie sypie. Jeśli jednego roku sięgasz do jej kieszeni po ziemniaki, to drugiego szukaj w niej grochu albo jęczmienia, ale nigdy ziemniaków. Jak groch zbierzesz, to znowu na inne żniwo sięgaj po żyto, i tak zmieniaj, iżby strączek szedł przed ziarnem ozimem, a kiedy dwa razy ziarno weźmiesz, to nie zapędzaj się bez nawozu, bo tak jak kupiec nie da ci towaru bez pieniędzy, tak ziemia twardego ziarna bez nawozu!

Zbliżaliśmy się do gruntów należących do mego gościnnego gospodarza i trafiliśmy najprzód na pole zasadzone ziemniakami, pod pług sadzonemi. Zieloność i siła badeli świadczyła o zdrowiu tej rośliny, szeregi ziemniaków stały jak żołnierze, a kwitły blado żółto, bo to były ziemniaki cebulowe. Oborane, obkopane i wyplewione, gnieździły się tak w pulchnej ziemi, że aż ją rozpychały, a gdzieniegdzie z pomiędzy nich wystrzelił bób, który gospodynie koniecznie między krzaki ziemniaków wmieszać lubią. Potem poszliśmy do pszenicy na świeżym nawozie, a ta parę razy zrzynana, zdawała mi się mało obiecywać plonu, i tę moją wątpliwość oświadczyłem gospodarzowi, co też przyznał, twierdząc, iż przesadził nawozem, który dał na bujne koniczknisko. „Byłoby się (rzekł on) bez nawozu obeszło, bo koniczyna była piękna i trzeci raz podskoczyla w łodygę, kiedy ją przeorałem, ale chciałem lepiej i zro-

biłem nadto, ale to nie szkodzi bo na przyszły rok inne ziarno na tem polu odda, co w pszenicy stracę.“ Na innem polu jęczmień był doskonałym, a owies to prawdziwie jak las i kiście szły od połowy ździebła. Dawno takiego owsa nie widziałem. Owies ten był na czteroletnim nawozie po grochu. W końcu poszliśmy na ostatnie pole pastewne, zasiane mięszanką; połowa była już skoszoną dla bydła, a połowa stała jeszcze jak mur, i tylko jej ścianami wiatr falował. Zapytałem gospodarza, wieleby posiadał gruntu, na co mi odrzekł, iż wszystkiego z łąkami posiada 24 morgów magdeburskich, to jest 12 morgów polskich, a gdy mi się zdawało, iż ten obszar jest niedostateczny do utrzymania tak porządnego domu i gospodarstwa, odrzekł:

— A na cóż mi więcej?... Kto posiada mało, a dobrze rolę obrobi i umie się rządzić, lepiej wychodzi od tego, który mając wiele, opuszcza i zaniedbuje swoje gospodarstwo. Ja dawniej (mówił gospodarz) trudniłem się furmanką i uzbierałem trochę grosza, otóż trafiała mi się teraz rola do nabycia za nader tanią cenę, a kupić jej nie chciałem, bobym się był obciążył ziemią, a potem nie dał jej rady. „Nie ten bogaty co dużo posiada, ale ten co nikomu nic nie winien, jeno duszę Bogu.“ Nieraz się dziwuję łakomstwu ludzi, którzy pragną mieć dużo roli, a przecież tej którą mają, obrobić nie mogą albo nie umieją.

— Zkądże, proszę was gospodarzu, przyszliście do takiej znajomości rolnictwa?

— Oto mój Jegomość — odpowie gospodarz — miałem ojca dobrego rolnika, i ten mnie wiele przećwiczył, jednak że ani czytać ani pisać nie umiał, przeto tyle wiedział, ile sam doświadczył. Ale teraz, to sam także doświadczam i uczę się z książek. Kupiłem sobie dzieło Nobisa o rolnictwie, które wydrukował jakiś Günther w Lesznie a dzieło to doskonale już może ze dwadzieścia razy przeczytałem. Kupiłem też dzieło co się nazywa Gospodarz praktyczny, Katechizm rolniczy i dziełko Złotą dolinę, a wreszcie o ogrodnictwie książkę Jaś Sadowski. Z tego nabrałem nauki jak się rządzić, a co mogłem to u siebie dopełniłem, i jakoś dzięki Bogu idzie; a chociaż nie wiele już w tych ciężkich czasach przyrobię, to tego co mi Bóg dał

nie stracę. Ożeniłem syna, dałem mu 200 talarów; wydałem córkę, dałem za nią 100 talarów, a resztę mam dla młodszych.

Wracając z pola szliśmy razem a natrafiwszy na drogę oboczną, owocowemi drzewami obsadzoną, pytałem się dokądby prowadziła?...

— Ta droga prowadzi w pola i na folwark przez pańskie grunta — rzecze gospodarz — a utrzymana jest kosztem wspólnym dworu i gminy.

— A jakże te drzewa owocowe mogą się tu utrzymać? zapytałem.

— Dlaczegóżby się nie miały utrzymać — odpowie zdziwiony gospodarz — przecież są wśród wsi i między ludźmi.

— Właśnie dla tego zdaje mi się to trudnem rzeknę. —

— Ale proszę jegomości, tuby się nikt nie ważył tego dotknąć. Mogą rosnąć sto lat, a ani gałązka i ani jedno jabłko nie zginie. Zbieramy owoce razem z dworem, lub wypuszczamy sadownikowi i dzielimy się pieniądzmi. U nas tu wszystkie drogi tak są poobsadzane, a nikt nic nie ruszy. Żleby to było, żeby we własnej wsi nie być pewnym swojej własności.

Pomyślałem sobie, że u nas aniby roku te drzewa nie były szanowane, bo zarazby je pasterze wyłamali, a nawetby ich i starszy gospodarz nie żałował, gdyby mu na prędce kołka lub wici było potrzeba! ale nic nie mówiłem o tem, aby wstydu przed ludźmi nie robić naszej okolicy. Idąc wsią napotkałem studnią z piękną malowaną pompą, świeżo zrobioną, pytałem więc gospodarza, ktoby tak piękną studnią sporządził?

— To gmina mój jegomość odpowie gospodarz tę studnią sprawiła ku wspólnej wygodzie, a kosztowała przeszło dwieście talarów.

Doszliśmy wreszcie do austeryi; konie moje były zaprzężone; pożegnawszy więc gospodarza, wyjechałem w dalszą podróż.

Tak to ludzie pracują i mądrze sobie radzą gdzieindziej, jeno u nas jeszcze zawsze lenistwo, niedbalstwo i głupota. To też gdzieindziej mają się rolnicy dobrze i zamożnie, a w naszym kraju między kmiotkami zawsze nędza i nędza. Czas już czas, kochani ludzie, garnąć się do nauki, bo tylko przy nauce nabędziesz rozumu, a tylko przy rozumie popłaca praca.

O wielkim ptaku strusiu.

Opowiemy wam po krótkości o dziwnym ptaku, o którym może wie z was dopiero lada dziesiąty, a który się zwie struś. Ten struś, to jest największy między ptakami, wysoki jest na ośm stóp czyli na cztery łokcie, a więc wyższy niż chłop najtęższy, a koń wygląda przy nim jak małe zwierzę. Szyja strusia jest długa na półtora łokcia, dziób ma nie bardzo duży, nogi wysokie, grube a takie silne, że jak niemi całą siłą kopnie, to nie tylko człowieka, ale i konia na śmierć ubije!

Struś nie umie latać po powietrzu jak inne ptaki, bo na to jest za ciężki, ale za to też biega tak szybko, że ani najszybszym koniem ani chartem go nie dogonisz. Żywi się struś owocami i ziołami, ale czasem jak go chętka napadnie, to połyka jakby gałki z ciasta kawałki szkła, żelaza, drzewa, kości, a ta przekąska nic a nic mu nie szkodzi, jeno jeszcze więcej apetytu mu dodaje. Dla tego też zwykli ludzie po miastach mówić o takich ludziach, co dużo i same grube potrawy jadają że mają strusi żołądek.

Struś niesie jaja, jak inne ptaki, ale jaja te są tak duże, jak głowy dziecka i ważą po kilka funtów. Jak takie jajo ludzie gdzie znajdą, to dwóch chłopów ma co jeść a nawet go nieraz całego nie zjedzą. Takich jaj niesie struś dwanaście. W krajach gdzie struś przebywa, takie jest gorąco, że tylko w nocy dla chłodu siedzi na jajach samica, a w dzień to je słonko samo wygrzewa.

Struś jest dla ludzi bardzo pożytecznym ptakiem. Ludzie jadają jego jaja i mięso, a zarabiają daleko jeszcze więcej na jego piórach. Bo ten struś, musicie wiedzieć, ma prześliczne czarne pióra, jakby z jedwabiu, a tak pięknie zakręcane, ze aż miło patrzeć. Otóż temi piórami prowadzą handel, bo ich panie używają do stroju, a możeście już nieraz przy kapeluszu jakiej pani widzieli strusie pióra.

Gdzież ten struś przebywa? Oto w Afryce, w innej części ziemi, co leży hen okrutnie daleko na południe od nas, a jest okrutnie gorąca, bo słońce pali tam przez całusieńki rok jak ogień. Część ta ziemi nazywa się Afryka. Teraz wam opo-

wiem, jak ci Afrykanie łapią strusia. Dobrze to mówią ludzie, że rozumu się na łokcie nie mierzy a najdłuższy chłop nieraz głupi jak dziecko, tak też ten ptak struś, choć wielki okrutnie a przecież dziesięć razy głupszy od naszego wróbla mizeraka. Wiedzą dobrze o tem Afrykanie i dla tego też łatwo go umieją ułowić. Zbiera się ich kilkunastu na koniach i rozstawiają się do koła. Struś ma to do siebie, że spłoszony pędzi bardzo szybko, ale zawsze obraca się w koło, tak, że w końcu wraca znowu na to samo miejsce, z którego wybiegł. Otóż jeźdzcy jeden po drugim ścigają strusia, a gdy struś się zmorduje, wtedy chowa głowę w trawę i myśli, że kiedy schował głowę to już go całego nie widać. Wtedy myśliwi przypadają do niego i zabijają go pałkami albo pikami, albo też żywcem go łapią.

Ale co najdziwniejszego wam powiem o tym strusiu, to to, że można na nim jeździć, jak na koniu, jeno że z kierowaniem trudna rada. Jak człowiek siędzie na strusia, to struś tak prędko goni, że ziemia tylko śmiga pod człowiekiem, tak jakby koleją żelazną jechał.

Przy tem zaś wszystkiem jest struś bardzo poczciwym ptakiem i małemu nawet robaczkowi nic złego nie zrobi. Nieraz objeżdżają po naszym kraju ludzie, co pokazują różne zwierzęta i ptaki, a między niemi i strusia, to go też może kto raz w jakiem wielkiem mieście już widział lub zobaczy. Tyle o strusiu, a na przyszły raz da Bóg doczekać, opowiadać wam będziemy o innych dziwnych zwierzętach, co żyją za dalekiemi morzami.

RÓŻNOŚCI.

Dziwny bardzo wypadek wydarzył się w Mielnicy obwodzie czortkowskim. Był tam staw wielki, na dwa sążnie głęboki — aż tu naraz pewnego dnia zeszłego miesiąca znikł cały i ani kropelki z niego nie zostało! Ludzie ogromnie się zdziwili i zachodzili w głowę, bo ze stawu zostało tylko łożysko suchuteńkie, a nawet ani rybki jednej ani żaby w niem nie było. Dopiero po długiem oglądaniu zobaczyli w środku łożyska dziurę na dwa sążnie szeroką a głęboką niezmiernie. Nic ta innego zajść nie

mogło, jeno woda ze stawu tą dziurą odpłynęła po pod ziemię do Dniestru, który tam jest nie daleko.

Zła wróżba. W obwodzie kołomyjskim i po innych miejscach pojawił się ptak nie swojski, który bodajby nam na złe nie wróżył. Ptak ten jest z Azyi i jest wielkim nieprzyjacielem szarańczy, a gdzie tylko szarańcza leci, tak zaraz i te ptaki przed nią i za nią spieszą, bo się nią żywią. Ptaka tego łatwo poznać. Jest czubaty, głowa, szyja, skrzydła i ogon są czarne i połyskują niebieskawo, cały spód i grzbiet ciemnoróżowe. Dziób ma z wierzchu żółty. Otóż boją się ludzie, aby nie przyleciała szarańcza do nas, kiedy się ten ptak pojawił, bo jak wam już powiedziałem, ptak ten tylko tam przylatuje, gdzie wie że już jest szarańcza albo będzie,

Pijany Jacek. Szedł Tomasz w południe przez wieś i spotkał Jacka, jak stoi na niepewnych nogach w środku wsi i przed siebie spoziera. „A wy czego tak stoicie?“ — pyta Tomasz. „A bo też cała wieś z wszystkiemi chałupami na około mnie biega“ — mówi Jacek. „A to idźcie powoli do domu“ — rzecze Tomasz. A Jacek na to: „Kiedy bo widzicie, ja czekam, aż moja chałupa koło mnie także nadbiegnie.

Dobra odpowiedź. Kiedy w Polsce była wojna w roku 1831 między Polakami a Moskalami, przyjechał raz oddział moskiewskiego wojska, co uciekał przed jenerałem Dwernickim, do pewnej wsi, a sam moskiewski jenerał zakwaterował się u proboszcza. Począł ten jenerał rozmawiać z księdzem i wygadywać okrutnie na Polaków a przechwalać Moskali. Aż nareście, gdy tak ksiądz i jenerał siedzieli koło dużego stołu, na którym stała maleńka szklanka z wodą, mówi Moskal tak:

— Co to księże wasza Polska! Co ona może przeciw Moskwie? Polska to do Moskwy jest tak, jak ta szklaneczka mała do tego stołu!

Xiądz zaś na to wstaje i wywraca szklankę z wodą na stół. Aż tu woda wyciekła i calusieńki stół zalała. Wtedy xiądz mówi:

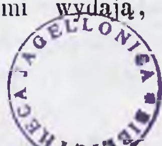
Prawdę pan mówisz, ale patrz jeno, jak się szklaneczka wody rozleje, to cały stół zamoczy. Tak też i Polska, choć mniejsza i z wami może tak zrobić.

Rozgniewał się na to okrutnie Moskal, ale cóż miał poradzić? naklął, naklął, i wyszedł ze wstydem.

Chłopskie wesele. Jacy to włościanie po innych krajach bogaci! Wójt pewnej wsi w Wyższej Austryi, który ma być najbogatszym kmieciem w całym kraju, obchodził niedawno wesele swoje z takim przepychem, jakiego nie widziano jeszcze w tych okolicach. Oprócz krewnych państwa młodych uraczono obficie wszystkich mieszkańców gminy, przyczem spożyto 48 wołów, 46 sztuk nierogacizny i owiec i 67 cieląt, prócz tego inne jeszcze potrawy i kilkaset wiader wina i piwa. Gody weselne trwały trzy dni spełna.

Co kraj to obyczaj, mówi stare nasze przysłowie. I prawda: xięża katoliccy, którzy po rozmaitych częściach

świata roznoszą wiarę chrześciańską, opisują dziwne i śmieszne nieraz w oczach naszych obyczaje i zwyczaje różnych ludów. I tak: w kraju Tybecie chcąc kogo powitać, odkrywa się głowę, wywiesza się język i drapie się w prawe ucho a to wszystko odbywa się równocześnie. W Japonii prosty lud wita gościa upadając na twarz. Inni, aby okazać uszanowanie i uwielbienie, kłaniają się po swojemu to jest odwracają się tyłem. Japończycy chcą przez to dać poznać, że się czują niegodnymi patrzeć w oblicze gościa. Insze też jeszcze mają w wielu rzeczach zwyczaje, a całkiem odmienne od naszych: My na znak szacunku dla kogo zdejmujemy kapelusze lub czapki, Japończycy zaś zdejmują swoje trzewiki. My wstajemy, a oni siadają, bo to u nich wielka niegrzeczność, stojąc przyjmować gościa. My uważamy białe zęby za piękne, u Japończyków zaś najpiękniejsze i dla tego wszyscy a mianowicie kobiety farbują je olejkiem zwanym kania, który zęby czerni. Co do ochędóstwa, tośmy nie dościgli Japończyków. U nich drogi są zawsze czysto utrzymywane — szerokie i otoczone rowem do ścieku wody; są nawet umiecione i piaskiem wysypane dla podróżnych, bo też tam nie wolno jeździć wozem, gdyż mieszkańcy nie mogą znieść turkotu kół. Nie prawda? śmieszne to tam są rzeczy. Znowu onym narodom nasze zwyczaje i obyczaje się śmiesznemi wydają, bo co kraj, to obyczaj.



Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Otoż już sześć latek okrąglutkich minęło za łaską Bożą, jak z wami Dzwonek zabrał znajomość. Sześć latek to spory kawał czasu, więc też przy takiej długiej znajomości i przyjaźni Dzwonek się wam zachwalać nie potrzebuje, boście go już dobrze poznali, a może i tak pokochali, jak my was kochamy, kochani bracia rolnicy! Już was i upewniać nie potrzebujemy, że będziemy pracować i nadal ile sił stanie dla waszej nauki i zabawy, dałby jeno Bóg, abyście szczerem i ochotnem sercem słuchali słowa naszego! W tej to nadziei rozpoczynamy roczek siódmy i zapraszamy was po starej przyjaźni i życzliwości do czytania DZWONKA. Jesteśmy zaś tego pewni, że nietylko dla dawnych przyjaciół i nadal miłym będzie gościem w chacie nasz Dzwonek, ale że mu przyczynią i nowych znajomych między swoimi sąsiadami. Bo już to święty obowiązek każdego człowieka, aby wspomagał i rozszerzał dobrą sprawę.

Dzwonek kosztuje tyle co zawsze: **1** *złr.* **na pół roku 2** *złr.* **na rok.** *Posyłamy wam z tym numerem różową okładzinkę i spis rzeczy z XII tomu i oddajemy was łasce Bożej, kochani bracia od pługa!*

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.